NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi w Galicyi i Austryi: Kwartalnie kor. 12·50. Półrocznie kor. 25·—. Rocznie kor. 50·—. Do Niemiec: Kwartalnie 13 kor. 25 hal. Półrocznie 26 kor. 50 hal. Rocznie 53 kor. — hal. z przesyłką pocztową. W Ameryce: Kwartalnie 13 kor. 80 hal. Półrocznie 27 kor. 60 hal. Rocznie 55 kor. 20 hal., z przesyłką poczt.

Zmiana adresu kosztuje 40 hal.

Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 40 hal. — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 56 halerzy.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV. ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).

Telefon Nr. 479.

Naczelny redaktor: Sylweryusz Chmurkowski.

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 31.

Główny skład na Królestwo Polskie: Władysław Biernacki w Warszawie, Hoża 15.

Główny skład na Księstwo Poznańskie: M. Niemierkiewicz Poznań, plac Wilhelmowski 3.

Numer pojedynczy 1 koronę.

Rok XV. **Kraków, 20 lipca 1918.** **Nr. 28**

„Krakowskie dzieci" na kresach Rzeczypospolitej.



Procesya Bożego Ciała w Chocimiu przy udziale „szesnastaków".

Od Redakcyi.

W następnym numerze rozpoczynamy **nową oryginalną powieść (p. Adama Wiarygi-Minieskiego)** pod tytułem

„Jak kruki“

osnutą na tle współczesnych „wojennych“ stosunków.

Nowy utwór utalentowanego autora, którego powieści: „Miłość i wojna“, „Poza frontem“ i „Małżeństwo wojenne“, drukowane na szpaltach „Nowości Illustrowanych“, zdobyły tak ogólne uznanie, posiada wszystkie zalety tego świetnego pióra. Nie wątpimy też, że powieść „Jak kruki“, poruszająca nowe a aktualne dziś tematy, przyjmą P. T. Czytelnicy z niemniejszem zainteresowaniem.



Rząd polski przy pracy: Posiedzenie gabinetu ministrów. Od lewej ku prawej: Fr ks. Radziwiłł dr. W Chodźko, Jan Stecki, A. Ponikowski, dr. Wróblewski (dyrektor kanc R. M.), J Machnicki (dyr. wydz aprow.), dr Holczyński (protokulant), inżynier B. Broniewski, St Dzierzbicki, dr. J. K. Steczkowski, J Hegersberger i Janusz ks Radziwiłł

„Dzieci krakowskie“ na kresach Rzeczypospolitej.

„Dzieci krakowskie“ z 16 pułku strzelców choć zdala od rodzinnej ziemi, żyją jednak sercem polskiem i tam, gdzie ich los rzuci, nie zapominają o rodzinnym kraju i jego tradycyach. Jak lat poprzednich, tak i w roku bieżącym, na odległych, lecz tylokrotnie zroszonych krwią polską kresach byłej Rzeczypospolitej — w Chocimie — komendant



„Dzieci krakowskie“ na kresach Rzeczypospolitej: Przymarsz 16 pułku strzelców do Chocima. Defilada przed pułkownikiem Hohenanerem

„szesnastaków“, pułkownik de Charlenz Hohenaner, urządził z okazyi Bożego Ciała dla swoich żołnierzy i tamtejszej ludności polskiej tak wspaniałą procesyę, jakiej tamte strony od ostatniego rozbioru Polski jeszcze nie widziały.

Uroczystości przypatrywało się wiele Rosyan, popów prawosławnych i niezliczone tłumy ludności. Procesyę prowadził kapelan pułku, Karmelita ks. Walczak, w asystencyi miejscowego proboszcza, ks. Śnieżki, prowadzony pod ramię przez pułkownika Hohenanera i kapitana Wójcika. Cała inteligencya polska miasta i obywatelstwo okoliczne stawiło się w komplecie.

Z oczu ludu polskiego płynęły łzy, dały się słyszeć głosy, że dziadowie ich nie widzieli tak podniosłej uroczystości, a również niemałe wzruszenie i skupienie widać było u ludności rosyjskiej.

Po skończonej procesyi ks. Walczak pobłogosławił szesnastaków, poczem przemówił pułkownik Hohenaner do zebranych w języku polskim i niemieckim.

Nastąpiła potem defilada, w której, jak zwykle, dzielni szesnastacy wspaniale się reprezentowali na kresach dawnego państwa polskiego.

Z pobytu 16 pułku strzelców w Chocimie zaznaczyć jeszcze należy, że za inicyatywą proboszcza miasta Chocimia, ks. Śnieżki, przy współudziale okolicznego obywatelstwa i miejscowej inteligecyi oraz pułkownika Hohenanera i ks. Walczaka, odbyło się z początkiem lipca b. r. posiedzenie, na którem uchwalono otworzyć pierwszą polską szkołę ludową w Chocimie, im. świętego Stanisława Kostki.

Pułkownik Hohenaner w swej obywatelskiej działalności nie zapomniał także i o Rosyanach. Przebywający tam oficerowie rosyjscy, od ośmiu miesięcy pozostający bez środków do życia, odbyli w obecności komendanta powiatu i pułkownika Hohenanera w Chocimie zgromadzenie, na którem uchwalono wysłać do obecnego rządu ukraińskiego w Kijowie deputacyę z żądaniem udzielenia pomocy materyalnej. Do zgromadzonych przemówił w języku rosyjskim pułkownik Hohenaner, który obiecał poprzeć ich żądanie.

Rząd polski przy pracy.

Jak się okazuje z przebiegu obrad warszawskiej Rady Stanu, rząd polski w tym szczupłym zakresie, jaki mu pozostawiono, wykonał jednak ogrom żmudnej pracy, przygotowawszy około 60 projektów ustaw, które złożył do laski marszałkowskiej. Pomiędzy tymi projektami, którymi ma się zająć obecnie Rada Stanu, znajduje się konstytucya państwa polskiego, ustawa wojskowa i inne ustawy o zasadniczem dla państwa polskiego znaczeniu, nie licząc całego szeregu drobniejszych projektów, regulujących różne dziedziny ekonomicznego życia kraju.

Ten obfity plon pracy przygotowawczej z jakim wystąpił gabinet p. Steczkowskiego wobec Rady Stanu, przyjęły też z uznaniem wszystkie jej stronnictwa i kluby.

Dwudziestopięciolecie Towarzystwa Dziennikarzy polskich.

W roku bieżącym upłynęło dwadzieścia pięć lat od założenia Towarzystwa dziennikarzy polskich we Lwowie. Wobec ciężkich czasów wojennych jubileusz ten obchodzili dziennikarze cicho i skromnie.



Dwudziestopięciolecie Towarzystwa Dziennikarzy polskich: Grupa członków Towarzystwa po posiedzeniu jubileuszowem we Lwowie. (Fot. M. Münz, Lwów).





„Dzieci krakowskie" na kresach Rzeczypospolitej:

Komitet polskiej szkoły im. Stanisława Kostki w Chocimie

Pułkownik Hohenauer z oficerami armii rosyjskiej, obradującymi nad swym smutnym losem.

Po nabożeństwie w archikatedrze lwowskiej obrządku łacińskiego, zebrali się przedstawiciele prasy w sali Kasyna i Koła literacko artystycznego na doroczne walne zgromadzenie.

Z uderzeniem godziny jedenastej zainaugurował wiceprezes Towarzystwa Aleksander Milski zgromadzenie obszerniejszem przemówieniem, w którem przedstawiwszy działalność Towarzystwa dziennikarzy polskich w ciągu ubiegłych lat czterech i podkreśliwszy, iż mimo wszystko, rozwija się ono świetnie, przekroczyło już bowiem pół miliona żelaznego kapitału — poświęcił gorące wspomnienie zmarłym członkom honorowym i rzeczywistym.

Zebrani uczcili pamięć ich przez powstanie, poczem p. Teofil Merunowicz złożył wydziałowi gorące wyrazy podzięki i uznania za całą działalność w ciężkich latach wojny, zwłaszcza podczas inwazyi rosyjskiej we Lwowie, kiedy to, aczkolwiek władze rosyjskie gnębiły i prześladowały polskie instytucye, Towarzystwo dziennikarzy polskich umiało utrzymać godność, honor i powagę polskiej prasy.

Edmund Kolbuszowski postawił imieniem wydziału wniosek mianowania pierwszego prezesa Towarzystwa z przed dwudziestu pięciu laty p. Teofila Merunowicza, członkiem honorowym Towarzystwa. W sali odezwały się gorące oklaski, a powszechnym szacunkiem i sympatyą w kołach dziennikarskich otaczany Jubilat dziękował głęboko wzruszony za to zaszczytne a zupełnie dlań niespodziewane odznaczenie.



Coraz więcej republik: Stacya obserwacyjna w porcie odeskim (Woj. kw. pr.)

Nastąpiły wybory. Prezesem Towarzystwa został obrany dotychczasowy jego wiceprezes i długoletni skarbnik, p. Aleksander Milski; wiceprezesami p. Michał Konopiński, redaktor „Nowej Reformy" i p. Bronisław Laskownicki, redaktor „Wieku Nowego".

Członkami wydziału Towarzystwa wybrani zostali na lat trzy pp.: Władysław Inlender, Edmund Kolbuszowski, Jerzy Konarski, Antoni Lech Bolesław Lewicki, W. Naake-Nakęski, Witold Noskowski, Michał Rolle, Artur Schröder, Leopold Szenderowicz, dr. Aleksander Vogel i Stan. Wasylewski; przewodniczącym Delegacyi krakowskiej Towarzystwa wiceprezes p. Michał Konopiński, a członkami pp.: Witold Noskowski, Roman Pilarz, Rudolf Starzewski i Włodzimierz Zawadzki, z prawem kooptacyi.

Dłuższą dyskusyę wywołały wnioski wydziału, które na razie aż do zmiany statutu służyć miały wydziałowi jako dyrektywa.



„Krakowskie dzieci" na kresach Rzeczypospolitej: Szesnastacy wśród miejscowej ludności w Chocimie

Przekazano wydziałowi do rozpatrzenia i ewentualnego przedłożenia najbliższemu walnemu zgromadzeniu wniosek p. Kolbuszowskiego w sprawie utworzenia przy Towarzystwie sekcyi: pożyczkowej, towarzyskiej, pogrzebowej i zapomogowej, do których mogliby należeć i dziennikarze, nie będący jeszcze członkami Towarzystwa.

Po posiedzeniu odbyło się zebranie towarzyskie. W swobodnej pogawędce przypominano różne momenty z ubiegłych lat dwudziestu pięciu, wspominano o zasłużonych dla Towarzystwa kolegach, których już brakło w gronie żyjących. Wszyscy rozchodzili się do dalszej codziennej szarej pracy podniesieni na duchu i pokrzepieni, ze szczerem przeświadczeniem, że Towarzystwo Dziennikarzy polskich zbliżyło do siebie rozbieżną dawniej rzeszę dziennikarską, że skuło ją węzłami sympatyi i prawdziwego koleżeństwa.



Ustąpienie komendanta m. Lwowa: Pożegnanie gen.-majora Adama Nowotnego na dworcu lwowskim (Fot. M. Münz, Lwów.)

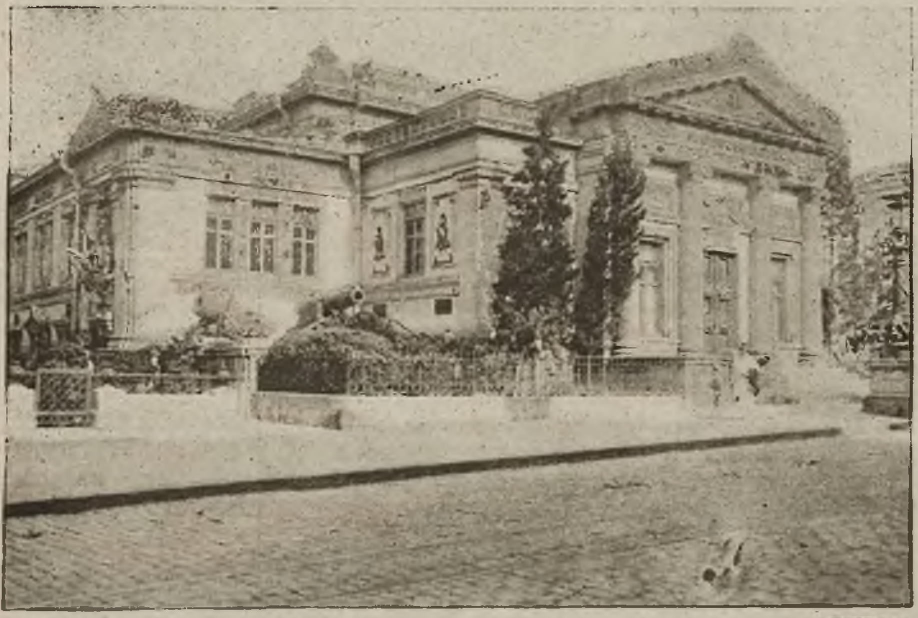
Przed nowem uderzeniem na Zachodzie.

Jak zapewniają korespondenci wojenni, obecna przerwa w ofenzywie niemieckiej niebawem się skończy i spodziewane jest nowe, tym razem może rozstrzygające uderzenie Niemców na zachodnim froncie. Wobec tej zapowiedzi nie od rzeczy będzie przypatrzeć się dotychczasowym wynikom ofenzywy niemieckiej i ich wpływom na dalszą sytuacyę.

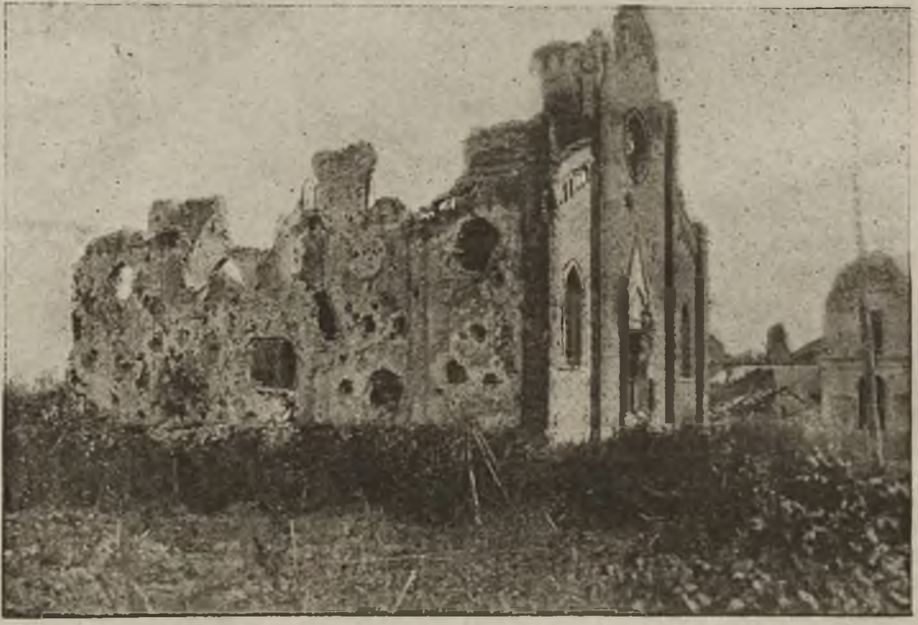
Drugiem następstwem ofenzywy niemieckiej jest niezawodnie osłabienie koalicyi w ludziach i materyale. Straty jej w dotychczasowych walkach od końca marca w zabitych, rannych i jeńcach wynosić mają około miliona ludzi — a więc prawie jedną trzecią żyjących sił bojowych. Ale wedle dotychczasowych doświadczeń tej wojny tak straszne straty wyrównywały się dotąd dość rychło.

Anglia i Francya oprócz własnej siły ludzkiej, otrzymuje teraz widoczną już pomoc amerykańską, to na razie nie wpłynęło to jeszcze na osłabienie siły oporu przeciwników. Inne środowiska. jak Ypern, Bethune, Arras, Amiens, Compiegne i Reims położone są tak blisko właściwej strefy wojennej, że militarna ich wartość zniknęła już dawne.

Lecz wchodzi tu następnie w rachubę przewrócenie operacyjnego planu koalicyi, które jest jeszcze dzisiaj najważniejszym sukcesem ofenzywy niemieckiej — i nie może rzeczywiście rodzić żadnych wątpliwości, bo zostająca od czasu wiosennych walk



Coraz więcej republik: Muzeum historyczne w Sebastopolu. (Fot. Bufa)



Z frontów bojowych: Ruiny kościoła w Musile nad dolną Piavą, ofiara ostatnich zaciekłych walk na tym odcinku. (Woj kw. pr.)

Przedewszystkiem uderza w oczy znaczny zysk terenu i nowe linie frontowe. Ale ten bezsprzeczny wynik sam jeden nie łamie jeszcze oporu aljantów. Bezwględnie rzecz biorąc — jako wywalczona zdobycz — jest to zysk wcale pokaźny, ale wobec obszarów bronionych jeszcze na zachodniej widowni bojowej jeszcze nie decydujący. Obszar obsadzony nie obejmuje żadnego politycznego, militarnego lub ekonomicznego środowiska, którego strata mogłaby dotknąć zbytnio przeciwnika lub mogła go osłabić. Osiągnięta zaś ruchem ofenzywnym nowa linia frontowa jest wprawdzie korzystniejsza dla Niemców od poprzedniej, lecz znacznie dłuższa, zmusza więc obrońcę do większych wysileń a atakującemu nastręcza do wyboru więcej miejsc do zadania ciosu, a na wewnętrzne rozruchy ani w jednem ani w drugiem państwie się nie zanosi. Nie podobna tedy oddawać się złudzeniu, jakoby rzeczone straty osłabiły militarnie koalicyę.

Jeżeli następnie przez zajęcie większej przestrzeni ziemi francuskiej podcięła ofenzywa niemiecka komunikacyę ważną dla koalicyi, to niezaprzeczony także ten sukces z dniem każdym staje się dla koalicyi po przegrupowaniu wojsk i przeinaczeniu gęstej sieci kolejowej w tamtych okolicach coraz mniej dotkliwym, a na ogólną sytuacyę jest bez długotrwałego wpływu.

Co do zagrożenia militarnych i politycznych centrów, które przedstawiało się bardzo poważnie, gdy Paryż zatrząsł się od dalekonośnych pocisków, pod Verdun 1916 r. inicyatywa bojowa po stronie koalicyi przeszła obecnie bezpowrotnie na stronę niemiecką.

Uwięzienie francusko angielskich rezerw w przymusowo wyznaczonych im przestrzeniach jest wynikiem niemieckiej swobody działania. To skrępowanie jest prawie zupełne i ono pożerało wojska aljantów wskutek ciągłych przerzucań w coraz to inne miejsca, dopóki pauza w ofenzywnych działaniach niemieckich nie zapanowała. Pauza ta jednak jest już wynikiem przeciwdziałań francusko angielskich które dowiodły, że przeciwnicy, mimo poniesionej klęski, potrafili w krótkim dość czasie wstrzymać dalszy napór Niemców.





Przed nowem uderzeniem na Zachodzie:

Wnętrze kościoła w Roye, zniszczonego ogniem dział francuskich.

Ślady zniszczenia na portalu katedry w Noyon. (Fot. Bufa)

J. H. Rosny.

Podwójne życie Piotra de Givreuse.

(Z francuskiego tłomaczyła M. J. MIGOWA)

10

— Boże mój!... To jeszcze nic!... — westchnęła dziewczyna — Miałam nadzieję, że wcześniej lub później jedna z tych miłości zatrze się i że to wystarczy, aby wytworzyć pomiędzy nimi głęboką różnicę... Ale w moim egzaltowanym umyśle — czyż tylko w moim umyśle!... Być może w całej mojej istocie — tworzyło się nowe nieszczęście.. Dotychczas przynajmniej mogłam odróżniać Piotra od Filipa we wspomnieniach przeszłości... Jeden z nich znał mnie przed wojną... nasze wspomnienia łączyły się... Wierzę w to ciągle, bo jakżeż mogło być inaczej?! Ale przeczucie silniejsze od wszelkiego rozumowania potężniało: przez jakie czary to się stało, nie wiem, nie rozumiem — ale Filip i Piotr mają te same wspomnienia... Napróżno broniłam się, to przekonanie rosło... Ustawicznie zdawało mi się, że dostrzegam dowody potwierdzające... To słowo jakieś, to gest, to inna drobnostka życiowa... Czyżbym zwarjować miała?... Zadawałam sobie ciągle to pytanie... Wczoraj pojechaliśmy wszyscy troje z panią Givreuse na folwark Jana Berleux — wiesz ten folwark z dawnych czasów — na skraju opuszczonej wsi... Pozostaliśmy sami, Filip i ja... Pani Givreuse i Piotr oddalili się, aby omówić kwestyę jakichś gospodarczych naprawek. Z przeszłości zostało mi słodkie wspomnienie chwil, spędzonych w pokoju, w którym znajdowaliśmy się... Było to prawie o tej samej porze... Nagle, jak jak wówczas, ptak zaczął śpiewać i Filip wypowiedział czterowiersz, ten sam, który słyszałam z ust Piotra przy tem samem oknie... Ogarnęło mnie przerażenie... w nocy spotęgowało się...

Zapanowała cisza. Magdalena poczynała coraz silniej odczuwać „nastrój" swojej dawnej uczenicy.

— Czyż to możliwe — szepnęła po chwili Walentyna — aby wspomnienia jednego człowieka udzielały się drugiemu?

— Może to być telepatya! — podsunęła Magdalena — Zresztą, moje drogie dziecko, te wiersze przecież mogły przypomnieć się Filipowi w sposób zupełnie naturalny.

— I to przy tem właśnie oknie? I to prawie w zupełnie analogicznych warunkach... To byłoby w każdym razie nadzwyczajne!

— Pamiętasz ten wiersz? Możesz mi go powiedzieć?

— Zaraz... Nie przypominam sobie dokładnie całego:

„Ptaszę śpiew zawodzi,
Cudny śpiew...
Cicho marzą młodzi,
Pośród drzew".

— Nie tak znów wiele ludzi zna ten wiersz!

— To prawda. Jednak zwróć uwagę, że jest tutaj mowa o ptaku, który ma śpiewać. W obu wypadkach, kiedy ci te wiersze deklamowano, śpiewał ptak... Dwaj ludzie tak podobni do siebie, jak Piotr i Filip, mogli uczuć tę samą pobudkę. Przyznaję, że to niezwykłe, ale w tem niema nic nadprzyrodzonego.

— O! Gdybyś miała słuszność!

— Mam ją, mała markizo!... Trzeba wierzyć mi i odpocząć... Ale co tam sobie myślą...

— Boże mój! — jęknęła dziewczyna — To nie do wybaczenia! Tak zaniepokoić panią Givreuse. I co począć teraz?!

— Zatelegrafujemy poprostu. Ponieważ ja nie mogę pozostawić cię samej, pani Givreuse przyjedzie. Zdaje mi się, że będę umiała jej wytłomaczyć.

— To tak trudno. Najmniejsza nieostrożna aluzya może zamącić spokój wszystkich.

— Nie mam bynajmniej zamiaru powiedzieć czystej prawdy... ani też pozwolić się jej domyślić...

W ulicy dała się słyszeć trąbka automobilowa. Obie kobiety spojrzały w okno. Samochód zatrzymał się przed domem.

— To Piotr! — wykrzyknęła z przerażeniem Walentyna — albo Filip!

— Ja go przyjmę.

Magdalena żywo otwarła drzwi i zaprowadziła Walentynę do malutkiej jadalni.

Zabrzmiały dwa uderzenia kołatki.

Oblicze gościa zdawało się prawie surowem. Ale oczy jego zdradzały głuchy niepokój.

Panna Faubert wprowadziła go do swego małego saloniku. Młodzieniec rozglądał się wokół gorączkowo.

— Przepraszam panią — rzekł — czy pani nie widziała... panny Varsennes?... Ona...

— Jest tutaj u mnie! — spokojnie odparła Magdalena.

Nerwowy uśmiech rozchylił nieco wargi gościa.

— Bogu niech będą dzięki! — westchnął — Mogliśmy się lękać najgorszego! A jednak w drodze miałem przeczucie, że schroniła się u swojej najpewniejszej przyjaciółki!

Ostatnie słowa przekonały Magdalenę, że ma przed sobą Piotra.

— Nie domagam się widzenia z panną Varsennes! — podjął nieśmiało.

— Ona jest bardzo zmęczona.

— Nie ma drugiego zakątka na świecie gdzie mogłaby się czuć równie pewną i bezpieczną jak tutaj... Natychmiast zatelegrafuję do mojej matki.

Krótka przerwa. Oboje śledzili się nawzajem wzrokiem z ciekawością gorącą i podejrzliwą.

— Nie mogłem pozostawić jej tutaj samej — rzekła wreszcie cichym głosem Magdalena — gdyby nie to, pojechałabym do pani Givreuse.

— Matka moja może przybyć tutaj?

— Czy może!... Uważam, że jest to nawet bardzo pożądane.

Piotr zawahał się chwilę, poczem zapytał:

Panna Varsennes nie jest wszak chorą?

— Nie.

Zrozumiał, że nie może nalegać. Szepnął tylko:

— Kiedy najchętniej widziałaby pani matkę moją u siebie?

— Jak najprędzej.

— Sądzę zatem, że zobaczy ją pani jeszcze dzisiaj przed południem.

Magdalena uważnie badała fizyognomię Piotra...

Widziała przesuwające się po niej rozmaite odcienie wzruszenia, ale nie zaobserwowała zdziwienia.

— On chyba wie? — zadała sobie w myśli pytanie — Albo przynajmniej domyśla się.

Zdawało się, że Piotr chciał jeszcze zapytać o coś, ale zbrakło mu śmiałości i pożegnał się.

Magdalena pozostała pogrążona w zamyśleniu. Zrozumiała teraz nieokreślone podejrzenia Walentyny.

Dziesiąta godzina wybiła na kościele świętego Saturnina, kiedy pani Givreuse przybyła do panny Faubert.

Znać było u niej wyraźniej wzburzenie, aniżeli u Piotra. Twarz jej miała twardy wyraz, który wzruszenie nadaje twarzom osób, nawykłych do rządzenia i rozkazywania.

Pani Givreuse czuła się nieco urażoną. Nie mogła pojąć dlaczego dziewczę opuściło zamek tak tajemniczo.

Uraza ta jednak roztapiała się w smutnej tkliwości.

Być może też, że była trochę zazdrosną o pannę Faubert. Ceniła ją zawsze, jako nauczycielkę nie odnosiła się jednak nigdy nazbyt serdecznie.

— Niech pani zechce wybaczyć! — zaczęła Magdalena — Niepodobna mi było pozostawić pannę Varsennes samą.

— Rozumiem to! — odpowiedziała chłodno pani Givreuse — My zaś byliśmy bardzo niespokojni!

Magdalenie zdawało się, że słyszy w tonie swego gościa wymówkę.

— Właśnie miałam wysłać telegram, kiedy zjawił się pan Givreuse.

Hrabina wykonała jakiś nieokreślony ruch ręką, poczem gniewnie rzuciła zapytanie.

— Dlaczego ona to zrobiła? To jest w zupełnej sprzeczności z jej naturą.

— Niekiedy okoliczności mogą być silniejsze od charakteru.

— Jakie okoliczności? — wykrzyknęła pani Givreuse prawie z oburzeniem — Co mogło się przydarzyć Walentynie, u mnie, w moim domu? Nie przypuszczam przecież, aby ktoś ośmielił się uchybić należnego jej szacunku?!

— O! pani!... To rzeczywiście niemożliwe. Panna Varsennes otoczona była szacunkiem i przywiązaniem.

— A zatem?... Nie jest wszak waryatką?!

— Jest tylko bardzo rozdrażniona.

— Czy ma po temu powody?

— Bezwątpienia, pani.

— Czyż nie mogła zwierzyć mi się?... Czy nie wie, że kocham ją, jakgdyby była moją córką!

— Wie o tem.. i kocha panią jak matkę.

— Więc?...

Pani Givreuse była bardzo mało przenikliwą. Domyślała się jednak, że chodzi tutaj o jakieś przesilenie uczuciowe.

Oddawna już spodziewała się, że Piotr i Walentyna pokochają się i życzyła sobie tego z ca łego serca.

— Niestety! — odpowiedziała Magdalena — czasem bywa tak, że właśnie najbardziej kochanym osobom nie możemy poczynić pewnych zwierzeń.

Pani Givreuse wzruszyła ramionami.

— Mówmy otwarcie, proszę pani Piotr powiedział coś Walentynie, naturalnie nic takiego, coby ją mogło obrazić. Do tego jest niezdolny, ale coś. co ją rozdrażniło.

— Nie zdaje mi się.

— Zatem, znaczyłoby, że poszła za głosem pobudki jedynie wewnętrznej? Czy tak?

— Tak.

— I pani zna tę pobudkę?

Magdalena nie odpowiedziała.

— A jednak — podjęła hrabina z pewną gwałtownością — muszę przecież wiedzieć. Gorąco pragnę szczęścia Walentyny. Mam chyba prawo wiedzieć, dlaczego oddaliła się od nas.

— Możebne, że ona sama nie wie tego dokładnie. Ona jest tak skrupulatną.

— Rozumiem panią. Chodzi o Piotra. Ale w jakim sensie? Czy obawia się pokochać?.. Czy lęka się być kochaną?

— Zapewne i jedno i drugie.

— Nie uważam aby to był rozsądny powód do ucieczki.

— A jednak... jeżeli ona pragnie usunąć się z pod wpływu... chce być zupełnie swobodną..

— W czemże ją krępujemy?

— Ach, pani!... Nie to chciałam powiedzieć. Mówię o wpływie, jaki wywiera samo przywiązanie. Młoda dziewczyna może mieć roz maite skrupuły. Kto wie, może Walentynie zdaje się, że pani jest niezadowoloną?

Pani Givreuse uśmiechnęła się łagodnie.

— Ja?!.. Ależ ja pragnę tylko jej szczęścia. Gdyby się pokochali z Piotrem, byłabym zachwyconą. Jeżeli jednak Walentyna nie kocha Piotra, to na pewno nie wezmę jej tego za złe. Jest równie wolną i swobodną, jak wiatr na morzu.

— Z pewnością ona nie wątpi o tem.

— W sumie zatem — podjęła hrabina trochę w lepszem usposobieniu — żadne wydarzenie nie wpłynęło na decyzyę Walentyny?

— Nic oprócz wydarzeń wewnętrznych, jeżeli to można tak nazwać.

— Chce spokojnie policzyć się ze swojem własnem sercem... To dobrze... Sądzę jednak, że to nie przeszkodzi jej zobaczyć się ze mną.

Pani Givreuse mówiła teraz głośniej.

Drzwi, prowadzące do wnętrza mieszkania, otwarły się i Walentyna ukazała się z twarzą mokrą od łez.

W milczeniu podeszła ku hrabinie i uklękła przy niej.

Ogromne włosy dziewczyny były nawpół rozpuszczone.

Zmęczenie, wzruszenie, bezsenność zostawiły ślady na jej powiekach, przez co oczy zyskały jeszcze na uroku.

Pani Givreuse rozczulona przycisnęła dziewczynę ku sobie.

ROZDZIAŁ VI.

Nowe życie Filipa melencholijnem było, ale nie tak bardzo, jak się tego obawiał początkowo.

Wstawały w nim świeże siły, nowa energia. Nabierał upodobania do swego zajęcia.

Pracował niezmordowanie aby zorganizować warsztaty, które mu powierzono.

Mechanikę lubił zawsze.

Teraz rozwijały się w nim drzemiące dotychczas zdolności i twórcza siła budziła wyobraźnię.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Szkoła ludowa czteroklasowa w Uściługu.



Szkolnictwo na Wołyniu: Polska szkoła ludowa w Janówce.

Szkolnictwo na Wołyniu.

Dzięki staraniom c. i k. Komendy czwartej armii i jej wydatnemu finansowemu poparciu, rozwinęło się pomyślnie szkolnictwo ludowe na Wołyniu. Według stanu z dnia 15. marca b. r. było czynnych 111 szkół z 156 siłami i 9400 dziećmi. 74 szkół utrzymywał rząd, 20 szkół Macierz polska, 5 ruskich i 2 izraelickie utrzymywały interesowane gminy.

W 60 szkołach polskich, w której to liczbie mieszczą się już i szkoły Macierzy, korzystało z nauki codziennej 4650 dzieci. Wśród tych szkół wyróżniały się liczną frekwencyą: sześcioklasowa szkoła we Włodzimierzu z 319 dziećmi, prowadzona przez Siostry Rodziny Maryi, czteroklasowa w Uściługu z 162 dziećmi, dwuklasowa w Kowlu ze 117 dziećmi, dwuklasowa w Jagodynie z 250 dziećmi, dwuklasowa w Rymaczach z 240, dwuklasowa w Równie z 127 dziećmi i wiele innych.



Szkolnictwo na Wołyniu: Polska szkoła ludowa w Oktawinie.

W zimowych miesiącach od 1 listopada r. u. do 31 marca r b., urządzono 30 kursów dla dorosłych analfabetów, z których korzystało około 800 uczestników, a w każdej prawie siedzibie szkoły odbywały się popularne odczyty dla ludu z dziedziny gospodarstwa wiejskiego lub przyrody.

Uznając wagę lektury domowej, zapoczątkował Zarząd wojskowy instytucyę biblioteczek szkolnych, Macierz zaś zakupiła wyborowe książeczki, skompletowała 50 biblioteczek po 60 tomików i wyposażyła niemi 50 szkół. W uwzględnieniu trudnego położenia mieszkańców przyznał Zarząd wojskowy każdej istniejącej szkole subwencye, po 5 koron na dziecko, na sprawienie najpotrzebniejszych środków pomocniczych nauki, tudzież na sprawienie książek i zeszytów dla najbiedniejszych dzieci.

Wśród nauczycieli przeważali wojskowi z Galicyi, ale i miejscowe siły pozostawały w użyciu. Płaca ich waha się między 180 a 200 koron miesięcznie. Wszyscy oni, tak Polacy jak Rusini, przejęci zapałem, dokładali wszelkich starań, by swoje szkoły postawić na jak najlepszej stopie To też praca ich, zwłaszcza w kierunku wychowania religijno-moralnego, wydała świetne rezultaty, co niejednokrotnie stwierdziły nadzorcze organa szkolne. A obejmowała ona nie tylko dziatwę, ale także i starszą młodzież, a nawet rodziców.



Szkolnictwo na Wołyniu: Grupa uczestników konferencyi nauczycielskiej w Lubomlu. 1) Podpułkownik Alaryk Sternat, 2) kapitan generalnego sztabu, Rudolf Kohl, 3) inspektor szkolny, kapitan Władysław Gürtler.



Szkolnictwo na Wołyniu: Inspektor szkół wołyńskich, kapitan Władysław Gürtler.

Gdy się zważy, że gminy, przedewszystkiem polskie, jako z natury rzeczy kulturalniejsze, szły nauczycielstwu w każdej szkolnej sprawie na rękę, że dziatwa na ogół bardzo uzdolniona, przywiązawszy się całą duszą do szkoły i nauczyciela, uczęszczała na naukę bardzo regularnie, wchłaniając zdrowe ziarno wiedzy, sypane hojnie przez zdolnych i sumiennych nauczycieli, którym c. i k. Władze wojskowe nie odmawiały sprawiedliwego i życzliwego poparcia, nabierze się pełnego wyobrażenia o wielkiej pracy oświatowej na tym obszarze, po którym niedawno przeszła burza wojenna w całej swojej grozie.

Przyszły historyk szkolnictwa wojennego na Wołyniu znajdzie tam z pewnością wdzięczne pole dla swej pracy.

W dniu 8 czerwca b. r. zwołano drugą na Wo-





Szkoła polska w Pieczychwostach. **Szkolnictwo na Wołyniu:** Szkoła żydowska w Włodzimierzu.

łyniu konferencyę nauczycielską, tym razem do Lubomla, prastarej Branickich siedziby. Zjechało się 120 nauczycieli, ze wszystkich zakątków kraju. Bardzo gościnne przyjęcie zgotował zjazdowi komendant powiatu lubomelskiego, podpułk. Alaryk Sternat. Oprócz niego i referenta spraw szkolnych przy czwartej generalnej komendzie, kapitana Güttlera, zjawił się na zebraniu szef zarządu cywilnego Wołynia, kapitan generalnego sztabu, Kehl.

Obrady rozpoczęły się o godzinie ósmej rano mowami powitalnemi i lekcyą praktyczną. Następnie odczytywali nauczyciele wyznaczone fachowe referaty, z pośród których wyróżniły się głębszą treścią, polotem myśli i piękną formą tematy: 1) „Warunki pracy nauczycielskiej na Wołyniu“ (referent jedn. ochotnik, plutonowy Stanisław Wikłacz z Korytnicy nad Bugiem), 2) „Spostrzeżenia i uwagi nauczyciela, poczynione na kursach dla analfabetów wołyńskich“ (ref. chorąży Ludwik Bojakowski z Jagodyna), 3) „Nauka mowy ojczystej, jako wykładowej w szkole ludowej“ (po rusku, ref. Sabina Sidorowicz z Włodzimierza) i 4) „Cel, metoda, zakres materyału z nauki rysunków w ogólności i w każdej klasie szkoły ludowej w szczególności“ (ref. Adolf Szałankiewicz z Uścituga). Po każdym referacie rozwijała się ożywiona, interesująca dyskusya dokoła referatów, z której wyłaniały się rozumne wnioski, przyjmowane przez zgromadzenie.

Zakończyły konferencyę o godzinie szóstej wieczorem wolne wnioski, dotyczące głównie podręczników szkolnych, tudzież przemówienia pożegnalne. Zebrani skorzystali wiele z obrad i rozjechali się, podniesieni na duchu, na swoje stanowiska.





Szkoła polska w Ochnówce. **Szkolnictwo na Wołyniu:** Szkoła ludowa w Skobiejewie.

Ofiary wojny powietrznej.

O ile straszną i pochłaniającą wiele ofiar jest wojna obecna, to tem większe jeszcze żniwo śmierci zbiera walka powietrzna. Lotnicy muszą się często przedzierać w głąb nieprzyjacielskiego kraju, w ogniu dział i karabinów maszynowych, ziejących gradem pocisków zarówno z ziemi, jak i z nieprzyjacielskich aeroplanów. To też procent poległych w walce powietrznej lotników jest znacznie większy niż w innych rodzajach wojsk. Po obu stronach frontu codziennie zrywają się chmury tych napowietrznych żeglarzy, a wielu z nich nie wraca z tej śmiertelnej podróży.

Zamieszczone w dzisiejszym numerze fotografie przedstawiają właśnie tragiczny epilog tych śmiałych wypraw powietrznych. Na jednej z nich widzimy pogrzeb dwóch angielskich lotników-oficerów, chowanych z honorami wojskowymi przez wojska austryackie na włoskim froncie; na drugiej, zupełnie odmiennej, pogrzeb lotnika niemieckiego w Anglii, którego zwłoki niosą do grobu nawet bez trumny. Obrazek ten, zaczerpnięty z tygodnika angielskiego „The Graphic“ z dnia 25. maja b. r. illustruje nienawiść Anglii do tak często „odwiedzających“ ją lotników niemieckich.





(Woj. kwat. pras.) Pogrzeb lotnika niemieckiego w Anglii. **Ofiary wojny powietrznej:** Pogrzeb dwóch angielskich lotników-oficerów na froncie włoskim.

Piotr Zaccone

Tragiczna noc

Tłumaczyła z francuskiego Marya Segeny.

33

W kilka chwil później obydwaj mężczyźni znajdowali się w kabinie kapitana.

Człowiek, który ścigał Dawidson'a, był wysoki i chudy. W bladej twarzy świeciły małe, siwe oczy. Spojrzenie ich było tak silne i przenikające, że Dawidson odczuł je aż w głębiach swojego sumienia.

— Pan jesteś kapitan Dawidson? — zapytał krótko.

— Tak jest.

— Ten trójmasztowiec jest własnością pana?

— Tak, proszę pana.

— I ma pan podobno odpłynąć jutro? — indagował dalej nieznajomy.

— Jutro, o wczesnej godzinie.

Nastało chwilowe milczenie.

— Tak jest, jak mi mówiono — ciągnął dalej nieznajomy — wszystkie objaśnienia zgadzają się. Pan zechce dalej odpowiadać na moje pytania.

Dawidson wyprostował się.

W słowach tych brzmiał jakiś dziwny ton zimny i suchy, który podobny był do rozkazu. Kapitan uczuł się tem obrażony i z gniewem spojrzał na swojego gościa.

— Przepraszam pana — rzekł ostro — ale zanim zechcę kontynuować tę rozmowę, chciałbym...

— Co takiego? — przerwał nieznajomy, mierząc go zimnem spojrzeniem.

— Chciałbym się dowiedzieć, kto pan jesteś i jakiem prawem ośmielasz się zadawać mi pytania, przychodząc nieproszony na mój statek — kończył Dawidson niecierpliwie.

Nie domówił jednak jeszcze tych słów, kiedy nieznajomy wyciągnął z kieszeni stemplowany papier i podsunął mu go przed oczy.

Dawidson rzucił spojrzenie i nagła zmiana zaszła w całej jego postawie.

— Czy to panu wystarcza?

— Najzupełniej — odparł kapitan uprzejmym głosem, kłaniając się głęboko.

— I jest pan gotów odpowiadać na moje pytania?

W każdej chwili.

Nieznajomy usiadł, zdając się nad czemś namyślać. Dawidson przysunął sobie krzesło i czekał cierpliwie, aż się odezwie.

— Panie kapitanie — odezwał się w końcu nieznajomy, głosem przywykłym do wydawania rozkazów — pewien człowiek widział się niedawno z panem i uczynił panu propozycyę przewiezienia go na tym okręcie do New-Yorku?

— To prawda.

— Po krótkiem wahaniu zgodził się pan nareszcie na jego propozycyę?

— Tak.

— I w ten sposób zamiast trzech pasażerów, których miał pan zabrać ze sobą do Ameryki, zabiera ich pan pięciu?

— Rzeczywiście.

— Ten sposób postępowania, o ile mi się zdaje, nie jest legalny.

— Ależ...

— Nie wiem jaką sumę ofiarował panu ten człowiek za tę umowę.

— Wręczył mi dziesięć tysięcy franków — odparł Dawidson, wściekły, że odkryto jego kombinacye, które nie przypuszczał, aby mogły komu być znane.

— Wysokość sumy, tajemnica, którą otaczają się ci ludzie i inne jeszcze względy powinny były pana uczynić ostrożniejszym i naprowadzić na podejrzenia, a jednak pan przystał.

— Przyznaję.

— Dobrze! Chociaż to wyznanie jest trochę spóźnione, będzie panu wzięte w rachubę. Nie o to zresztą teraz chodzi. Inny powód skłonił mnie do przybycia na pański okręt o tej porze.

— Co takiego? — zapytał Dawidson.

Nieznajomy rzucił mu długie i badawcze spojrzenie.

— Pasażerowie pana mają się udać na okręt jutro, nieprawdaż? — zapytał żywo.

— Tak

— O której godzinie?

— Wczesnym rankiem.

— I pan ma ich przyjąć?

— Tak, obiecałem — bąknął Dawidson, nie wiedząc, do czego tamten zmierza.

— Dobrze. Oto wszystko, czego chciałem się dowiedzieć. Niech pan nic nie zmienia w swoim programie. Rozumie pan?

— Rozumiem.

— Nie opuszczę już okrętu, a jutro, kiedy więzień, którego poszukujemy od paru dni, znajdzie się na pańskim pokładzie, to znajdzie on tam nas, nas, którzy zajmą się odprowadzeniem go do więzienia.

Dawidson skłonił się w milczeniu.

Nie miał tu nic do oponowania. Człowiek, którego miał przed sobą, był komisarzem rządowym więzienia w Brest i czuł dobrze, że wszelki opór byłby niebezpieczny.

Wszystko więc odbyło się według rozkazów komisarza i w godzinę później cisza i spokój zaległy okręt, jak za dni codziennych.

Świt zaznaczał się ledwie niepewnym, jasnym blaskiem i cienie nocy unosiły się jeszcze wokoło. W przystani żaden ruch nie dawał się jeszcze spostrzegać, kiedy maleńka łódź oderwała się od wgłębionej cieśniny na wybrzeżu wioski Lanninon i bez szelestu najmniejszego, kierowana przez dwóch ludzi, wypłynęła na morze.

Jednym z tych ludzi był Paskal, drugi bankier de Compans, zbieg z więzienia w Brest.

Siedział on na tylnej ławeczce, blady, milczący, z oczyma utkwionemi we wschodnią stronę horyzontu, drżąc za najmniejszym szelestem.

Pan de Compans był bardzo zmieniony. Nikt z dawnych jego znajomych nie byłby go poznał.

Włosy jego posiwiały, głębokie zmarszczki przerzynały czoło, oczy wpadnięte świeciły teraz nadnaturalnym blaskiem. Z dawnego świetnego finansisty pozostał cień tylko.

W tej chwili wzruszenie głębokie szarpało nim. Co chwila zwracał się do Paskala, śledząc jego poruszenia, jakgdyby mu dopomódz chciał do szybszego biegu i z piersi jego wydobywał się zduszony, świszczący oddech, z trudnością wydobywający się z gardła.

— Spiesz się! Spiesz się! — zawołał nagle, trzęsąc się jak w febrze. — Oto już rozjaśnia się! Dzień nadchodzi. Wkrótce mogą nas już dostrzedz, a wtedy jesteśmy zgubieni! Spiesz się, Paskalu! Spiesz się, mój przyjacielu! Życie moje leży w twoich rękach.

Paskal uśmiechnął się i wzruszył ramionami.

W twarzy jego jaśniało zadowolenie i pewność siebie.

— Niech się pan uspokoi — odparł — niema żadnego niebezpieczeństwa. Za kilka minut dopłyniemy do okrętu i znajdziemy się na pokładzie. Jeżeli zajdzie potrzeba, ukryjemy się pod pomostem i zanim miesiąc upłynie, staniemy w Ameryce. A tam niechże nas ścigają!

Oczy bankiera zabłysły nadzieją.

Już tylko pareset metrów dzieliło ich od odkrętu kapitana Dawidson'a

— Czy chociaż pewny jesteś tego Dawidson'a? — zapytał bankier drżącym głosem.

— Och! Tak pewny, jak siebie samego — odparł z przekonaniem Paskal.

— W każdym razie byłeś bardzo nieostrożny, mój kochany, żeś mu dał całą sumę naprzód.

— Tak, to słusznie! Spostrzegłem się zapóźno! Ale, powtarzam panu, chwila była bardzo poważna, nie mogłem się już namyślać i dzięki temu może jest pan wolny teraz.

— Wolny! Wolny! — powtarzał de Compans z westchnieniem głębokiej ulgi.

Widać już było doskonale pomost trójmasztowca. Jakiś człowiek stał na nim. Paskal był przekonany, że to kapitan i wskazał go towarzyszowi.

— Widzi go pan — rzekł przyciszonym głosem, jakgdyby się lękał, że go kto posłyszy — oczekuje na nas. Wiedziałem, że się na nim nie zawiodę.

— A więc to on?

— To kapitan Dawidson.

— Jest sam.

— Tak.

Bankier odetchnął.

— Nareszcie! — szepnął, przeciągając rękę po czole zroszonem potem. — Nareszcie!

Łódź dobijała. Natychmiast majtek z okrętu wybiegł na spotkanie pasażerów, podczas kiedy kapitan pozostał na schodkach, prowadzących na pokład.

Dawidson był silnie wzruszony.

Bankier wszedł pierwszy, za nim postępował Paskal.

Sprawa więc została szczęśliwie przeprowadzona. Z chwilą wejścia na pokład więzień był uratowany. Z wyrazem głębokiej wdzięczności podszedł do kapitana, lecz w chwili, kiedy oszołomiony radością, wyciągnął do niego rękę machinalnym ruchem, cofnął się o dwa kroki, wydając straszny okrzyk zgrozy.

Poza kapitanem dostrzegł drugą osobę.

Więzień raz tylko widział tego człowieka, ale poznał go natychmiast.

To był komisarz rządowy z więzienia.

Nieszczęśliwy odrazu zrozumiał wszystko. Już teraz wiedział, że niema dla niego żadnego ratunku.

Zdrada była jawna i cała jego odwaga, wszystkie siły, opuszczały go w tej strasznej, decydującej o jego losie chwili. Musiał się chwycić poręczy mostku, żeby nie upaść.

Co zaś do Paskala, to widok nagły komisarza odmienne na nim uczynił wrażenie.

Odbierając pewność, że został zdradzony, widząc, że więźnia pochwycono natychmiast i związano silnie, na myśl, że stracił tyle pieniędzy napróżno i bezpowrotnie, rozpaczliwa wściekłość ogarnęła go. Szczególnie żal mu było zmarnowanych pieniędzy. Z taką pokaźną sumą mógł żyć do starości w wygodach i spokoju. Krew uderzyła mu do głowy i w pierwszym porywie ślepego gniewu i rozpaczy rzucił się jak zwierz wściekły na Dawidsona, który nie spodziewał się tego napadu.

Zawiązała się walka zacięta.

Paskal uzbrojony był w długi, ostry nóż, Dawidson wyciągnął z kieszeni rewolwer.

— Nędzniku! — zawołał kapitan, przykładając mu lufę rewolweru do piersi.

— Muszę cię zamordować, zdrajco! — odpowiedział Paskal.

— Twoje życie jest w moich rękach!

— Tak sądzisz!

I równocześnie Paskal wyciągnął rękę i uderzył. Ale broń ześlizgnęła się tylko po ubraniu, nie zadając rany.

W tej chwili rozległ się wystrzał.

Zrobił się ruch i zamieszanie na pokładzie. Kiedy nadbiegli marynarze, zwabieni wystrzałem, ujrzeli Paskala leżącego na ziemi w kałuży krwi.

Kula przeszyła mu piersi.

W godzinę później ex-bankier de Compans został z powrotem pod silną ekskortą odstawiony do więzienia, gdzie umarł w kilka lat później, dręczony wyrzutami sumienia i wstydem.

Wypadek ten jednak nie opóźnił odpłynięcia okrętu kapitana Dawidson'a i nie zmienił w niczem jego planów.

Około godziny dziesiątej rano, przyjąwszy na pokład trzech pasażerów, trójmasztowiec rozwinął żagle i przy sprzyjającej pogodzie ruszył na pełne morze.

Frank i Fernanda znajdowali się w kabinie dla nich przygotowanej. Lopez tylko pozostał na pokładzie, zajęty rozmową z kapitanem.

— A więc — rzekł nagle Lopez — to, co opowiadano dziś rano, jest prawdą? Więzień został pochwycony?

— O, już teraz nie prędko odzyska wolność — zaśmiał się kapitan.

— Czy pan wie chociaż jak on się nazywał?

— Mówią, że to był bogaty bankier, pan de Compans z Paryża.

Lopez drgnął lekko.

— Och! — szepnął — A miał on towarzysza?

— Nędznika, który chciał mnie zamordować.

— Służący bankiera nazywał się Paskal, nieprawdaż?

— Pan go znał?

— Tak — odparł Lopez obojętnie. — Znałem ich obydwóch jeszcze z Paryża. To była szczególna historya. Opowiem ją kiedy panu, jeżeli to pana nie znudzi.

— Proszę pana bardzo — odparł uprzejmie kapitan.

Lopez umilkł, nie bardzo usposobiony do dalszej rozmowy. Mimowoli myśl jego się zwróciła do niedawnej przeszłości i zastanawiał się głęboko nad dziwną potęgą losu, który w tak krótkim czasie doprowadził do rozwiązania tej ponurej tragedyi.

KONIEC.

Ustąpienie komendanta m. Lwowa.

(Do illustracyi na str. 3).

W tych dniach opuścił Lwów, żegnany z żalem przez wszystkie sfery stolicy kraju, dotychczasowy komendant m. Lwowa, jen Adam Nowotny. Przed odjazdem zjawiły się w biurze szefa lwowskich władz wojskowych liczne deputacye, aby wyrazić jen Nowotoemu podziękowanie za jego obywatelską działalność na tem trudnem i odpowiedzialnem stanowisku. Liczne grono osób przybyło też na dworzec kolejowy, aby jeszcze raz pożegnać odjeżdżającego komendanta.

Coraz więcej republik.

Trudno już dziś zliczyć wszystkie „republiki", jakie potworzyły się na gruzach caratu. Każdy dzień przynosi wiadomość o nowej republice — to murmańskiej, to wołogodzkiej, to symbirskiej itd. Niektóre z nich, jak ukraińska i krymska, znajdują się pod protektoratem państw centralnych. O ile jednak o pierwszej dużo się mówi i pisze, to o drugiej jest w prasie dość głucho. Zamieszczając w dzisiejszym numerze kilka zdjęć z Krymu, podajemy także garść luźnych informacyi z życia „republiki krymskiej".

W Teodozyi życie poczyna wracać do normy. W porcie stoi kilka niemieckich i ukraińskich statków handlowych. Statków wojennych niema zupełnie. Na ukraińskich statkach niema flag. Przed zajęciem Teodozyi przez Niemców, bolszewicy uprowadzili przeszło 25 statków handlowych z manufakturą, żywnością i artyleryą.

Przed kilku dniami bolszewicki torpedowiec ostrzeliwał miasto, nie wyrządzając żadnej szkody. Skutkiem tego władze odnośne wydały rozkaz zatapiania statków, podpływających do wybrzeży krymskich bez uprzedmiego zawiadomienia o tem zapomocą radiotelegrafu.

Na południe od Tomania, w pobliżu Apapy, koncentrują się bolszewickie oddziały dońców i marynarzy. Oddziały te rozporządzają trzema polowemi działami i olbrzymiemi zapasami amunicyi i t. p.

W Sebastopolu znajdują się liczne statki floty rosyjskiej, a mianowicie torpedowce: „Georgij Pobiedonosiec", Jewstafij", „Pantelejmon", „Jan Złotousty", „Tri Swiatitiela", „Rościsław", „Sinop" i „Orzeł"; krążowniki: „Pamiat Merkurja", „Oczaków", „Prud", „Ałmaz"; torpedowce: „Gniewnyj", „Szczastliwyj", 16 torpedowców i 9 łodzi podwodnych. Nadto turecki dredenout „Geben" i 13 statków handlowych.

Na wszystkich torpedowcach maszyny zniszczone, zamki działowe podkręcane i rzucone w morze.



Coraz więcej republik: Ogólny widok portu w Sebastopolu z rosyjskimi okrętami wojennymi (Fot Bufa)



Coraz więcej republik: Plac targowy w Sebastopolu (Fot. Bufa)



Coraz więcej republik Wmurowany w ścianę skalną kościół klasztorny w Inkermanie pod Sebastopolem Na prawo jaskinia, służąca za dworzec. (Fot. Bufa)



Coraz więcej republik: Uruchomione nanowo słynne łomy piaskowca w Inkermanie koło Sebastopola, z wejściem do jaskini, gdzie się go wydobywa. (Fot. Bufa)

Kronika tygodniowa.

Wielką, większą nawet może niżby kto myślał, jest potęga pisanego i drukowanego słowa. Sam się o tem miałem sposobność przekonać na ostatniej kronice, w której podałem pierwszą seryę przyjemności, połączonych obecnie z podróżowaniem. Wyraziłem równocześnie zapatrywanie, że może moja Weronika, przeczytawszy te słowa, zmieni zamiar i pozostanie w Krakowie, nie chcąc się narażać na podobne udręki, wobec czego i ja nie będę zmuszony do odegrania roli słomianego wdowca, w której się zawsze czuję jakoś nieswojo. Bo to z jednej strony „radaby dusza do raju" i aż się człekowi oczy śmieją do tej wolności, jaka go czeka, z drugiej znów coś tam w głębi mówi: „A nuż (szkoda, że nie widelec!... przyp. zecera) Weronika powróci niespodzianie i przyłapie cię na jakim gorącym uczynku?..."

O, zaiste, wtedy byłoby naprawdę gorąco i lepiej o tem nawet nie mówić, by nie wywoływać niepotrzebnie wilka z lasu...

Dziś jest to już wykluczone, albowiem moja lepsza połowa, przeczytawszy kronikę z ubiegłego tygodnia, oświadczyła najkategoryczniej w świecie, że zostaje. Nie ciekawa jest nawet drugiej seryi owych „przyjemności", o których wyżej mowa, pierwsza jej zupełnie wystarczyła, by wszystkie plany i kombinacye wywrócić za jednym zamachem do góry nogami.

Dowód w tem jeden więcej, że pióro. choćby nawet nieco zardzewiałe, daleko potężniejszem jest od najostrzejszego miecza i że prasa może i nawet powinna być tym czynnikiem, z którym każdy liczyć się musi, choćby zajmował niewiedzieć jak wysokie stanowisko. Nawet taki strażnik na wieży Maryackiej, patrzący z góry na cały Kraków, musi się z prasą liczyć i nieraz kupuje *Kuryerka*, by wiedzieć tam na wysokościach, gdzie się tylko chmury i kawki ma za sąsiedztwo, co się dzieje na dole.

Teraz jest w kłopocie, ma bowiem dwa *Kuryery* i nie wie, któremu z nich dać pierwszeństwo. Zdaje się jednak, że zostanie wierny staremu.

Co do pojawienia się równocześnie aż dwu *Kuryerów*, to warto nadmienić, że toczy się stale między nimi walka, ale przeważnie pozycyjna, gdyż obecnie tylko taka jest w modzie. Obie strony okopały się należycie, wystawiły przeciw sobie rozmaite grube Berty i karabiny maszynowe i czekają. Zywsze utarczki w różnych odcinkach staczają tylko ze sobą kolporterzy obu *Kuryerków*, ale nie z powodu różnic politycznych, jedynie tylko ze względu na brudną konkurencyę. Dziś trudne ich zadanie, nie mało muszą się nameczyć, nim potrafią przekonać przechodnia, który ma kupić. I stąd między nimi zawiść, a następstwem jej drobne utarczki, o których się przecież nie wydaje oficyalnych komunikatów.

„Gdzie się dwu bije lub kłóci, tam trzeci może łatwo skorzystać..." tak powiedział sobie *Nowy Dziennik*, wydawany w Morawskiej Ostrawie, a drukowany w Przywozie i pojawił się prawie równocześnie z obu *Kuryerami*, wychodząc z tej zasady, że przeciętny Krakowianin, nie wiedząc, czy pieniądze wydać na „illustrowanego codziennego", czy też na „nowego krakowskiego", by sobie niepotrzebnie nie łamać nad tem głowy, do czego innego potrzebnej w tych czasach, kupi z pewnością *Nowy Dziennik*.

Czy się wydawcy nie zawiodą, trudno dziś powiedzieć, niechaj jednak pamiętają, że nie zawsze „gdzie się dwu bije lub kłóci, tam trzeci korzysta...", czasem zdarza się, że przy tej sposobności, wmieszawszy się niepotrzebnie i nie w porę, właśnie „ten trzeci" zamiast spodziewanych korzyści może bardzo łatwo oberwać po karku.

Koniec końców mamy więc i oba *Kuryery* i *Nowy Dziennik*, czyli, zamiast jednego aż trzy grzyby w barszcz, ku utrapieniu szczególnemu zwłaszcza tych, którzy codziennie muszą przeczytać wszystkie miejscowe pisma, by módz potem na tem tle snuć swe kombinacye polityczne i powoływać się:

— Bo to, proszę pana, w *Kuryerku* wczorajszym tak stało!...

Potęga prasy jest więc wielką, skoro, dzięki niej właśnie, zmieniła nawet pani Weronika swe plany i postanowienia i zostaje w Krakowie, zamiast bujać gdzieś po świeżem powietrzu, pieścić swe oko cudnymi widokami przyrody i spędzać z nosa uprzykszone muchy, tem dziś nieznośniejsze, iż wiedzą, że brak zupełny trucizny na nie i lepu. Hulają też bezkarnie.

Gdy Weronika zawiadomiła mnie o swej decyzyi, nie zapomniała dodać:

— Zostaję w Krakowie razem z tobą, choć wiem, że ci się to nie bardzo podoba!... Ale trudno!... Przy mem słabem zdrowiu i wątłej konstytucyi nie mogąc się narażać na trudy, połączone z podróżą... Ta pierwsza serya, którą ogłosiłeś w ubiegłym tygodniu, zupełnie mi wystarczy, nie potrzebujesz się dalej wysilać i możesz zmienić temat.

Choć ona pozwala na to, ja tego przecież nie uczynię, owszem doprowadzę, jak się należy, rzecz do samego końca, a nawet jeszcze dalej. W tym wypadku posłużyć mi muszą za tło opowiadania przeżycia podróżnicze pewnej znajomej pani, która nie tak dawno wybrała się w drogę „dla przyjemności", ale, nie znalazłszy takowej, wracała prędzej, niż się udawała.

Dziś i ona siedzi w domu, chwali z tego powodu Pana Boga i powiada, że wszędzie dobrze, ale w domu najlepiej.

Zdaje mi się, że tego samego zdania jest i ekscelencya pan minister Seidler i że i on także, fotel prezydyalny uważając za swój dom, gdzie mu dobrze, rozpakuje kufry i zostanie. Sytuacya jakoś się trochę wyjaśniła, czarne chmury ustąpiły z horyzontu, drogą na żołądki zaapelowano do serc obywateli, by państwu w krytycznym czasie dali spokój i umożliwili panu Seidlerowi dalszą owocną działalność.

W danym wypadku dopomogły Węgry, gdy zawiodła Rosya, Rumunia i Ukraina. Zawiadomiono oficyalnie ogół, że z krajów korony świętego Szczepana jedzie dla Austryi okrągły milion cetnarów zboża nowego, które nawet już oddano do młyna, byśmy w najkrótszym czasie mogli mieć na zaspokojenie apetytów piękną „nulkę". A to się stanie tylko w tym wypadku, jeśli będziemy grzeczni i nie będziemy rządowi przysparzać kłopotów, w przeciwnym razie czeka nas inna „nulka", to jest najzwyklejsze zero, albo figa.

Nie jest też wykluczonem, że pan dr. Seidler dowiedział się gdzieś z boku, że Weronika nie jedzie, ale zostaje i postanowił uczynić tak samo. Czy postąpił trafnie, przyszłość to okaże, ja nad tem zastanawiać się nie myślę, ani nie mogę, zwłaszcza, że kronika obecna miała w dalszym ciągu poruszyć kwestyę podróżowania w wojennym czasie, a nie polityki, która, nawiasem mówiąc, w tym okresie nie jest też bynajmniej połączona z przyjemnościami.

Zostawiłem więc Czytelnika w ubiegłym tygodniu we wnętrzu wagonu kolejowego, dokąd, po zwalczeniu najrozmaitszych trudności, udało się nam dostać z narażeniem nie tylko własnego życia, ale i bliźnich, mających te same, co i my zamiary, to jest opuścić Kraków i rozpocząć podróż „dla przyjemności".

Co się tutaj dzieje, trudno to opisać. To jedno tylko jest pewnem, że gdyby Dante po raz drugi przyszedł na świat i chciał się znowu zabrać do opisywania piekła, znalazłby tutaj wiele materyału do swej pracy.

Dbały o wygody podróżującej publiczności zarząd kolejowy, nie bacząc widocznie na drożyznę papieru, sprzedaje taką moc biletów jazdy, ile ich tylko zażądają pasażerowie, a potem pokazuje się, że bodaj dla pewnej części brak miejsca. Gniotą się więc ludzie, niczem śledzie w beczce, wymyślając kolei, jedni drugim i przeklinając dzień i godzinę w której na świat przyszli. Niejeden cofnąłby się może i wyrzekł przyjemności podróżowania, ale próżne jego wysiłki; dostać się do wnętrza wagonu było trudno, wycofać się stąd jest już rzeczą wprost niemożebną do przeprowadzenia, gdyż przedziały i przejścia tak są zapchane ludźmi różnej płci, wieku, wzrostu i tuszy, że nawet hiszpańska influenza, gdyby się tutaj znalazła, byłaby w kłopocie, co ze sobą uczynić. Ponadto czyhają na człowieka, niczem wilcze doły, różne niebezpieczeństwa pod postacią porozstawianych tu i ówdzie kufrów, kuferków i kufereczków, pudeł i pudełek, bez których żadna szanująca się niewiasta nie wyobraża sobie nawet wybrania się w podróż.

W przedziałach okna mlejscami powybijane, zapewne celem ułatwienia przypływu świeżego powietrza, z tego samego też chyba powodu nie domykają się i drzwi, co o irytacyę przyprawia pewnego staruszka-emeryta, nie znoszącego przeciągów, klnie też na czem świat stoi i wymyślając na porządki kolejowe i przeciągi.

— A łaskawy pan dokąd jedzie? — pyta go ktoś ze współpodróżujących.

— Na świeże powietrze! — odpowiada zagadnięty, podnosząc kołnierz ciepłej zarzutki i zapinając się szczelnie, choć atmosfera przypomina łaźnię parową. Tłumaczę mu, że tam, dokąd jedzie, będzie jeszcze więcej świeżego powietrza, a on gniewa się i o tę jego odrobinę, dostającą się do wnętrza przez rozbite okno. Ale on nic sobie z tego nie robi i stara się dziurę w oknie zatkać swym szalem. Na to znów nie chcą się inni zgodzić, twierdząc, że zapłacili za to, by módz w czasie podróży podziwiać piękny krajobraz, przesuwający się przed ich oczyma.

Na tem tle wywiązuje się wymiana zdań, coraz gorętsza, obie strony chcą na superarbitra wezwać konduktora, ale ten nie może pospieszyć na wezwanie, gdyż wąskie przejście naszpikowane zatarasowała swą peryferyą jakaś korpulentna niewiasta i krzyczy, że się dusi, a ruszyć się z miejsca nie może. Dopiero wspólnymi wysiłkami konduktora i czterech silnych mężczyzn udało się jakoś przesunąć ją w szersze nieco miejsce, gdzie znów przygniotła sobą do ściany jakiegoś suchotnika, wołającego w niebogłosy ratunku.

Lokomotywa zaś nie robi sobie nic z tego, stęka i dmucha, ale sunie jakoś naprzód, a za nią i reszta pociągu wraz z cfiurami manii podróżowania.

Od czasu do czasu ma się przecież rozmaitość!... Raz kontrola biletów jazdy, potem badanie papierów wojskowych, wreszcie poszukiwania za przewożonymi bez pozwolenia zapasami żywności. Każde takie wkroczenie połączone jest z ogólnem poruszeniem, w ścisłem i przenośnem tego słowa znaczeniu, ogółu jadących. Ten i ów radby się wówczas dostać do owego małeńkiego przedziału, mieszczącego się na końcu wagonu, a przeznaczonego dla wygody podróżujących. Ale to im się nie udaje, miejsce to bowiem okupował dla siebie jakiś pasażer, twierdząc, zupełnie zresztą słusznie, że sobie kupił siedzące miejsce, będzie więc siedział bodaj tutaj, skoro nie może gdzieindziej.

Z ogólnego zamieszania korzystają rzecz prosta i kieszonkowcy, podróżujący także dla przyjemności i interesu. Wiedzą dobrze, że w czasie takiej podróży łatwo się obłowić, kto zaś ma pieniądze, może sobie potem sprawić przyjemność.

Od czasu do czasu słychać więc płacz i narzekania, iż temu skradziono portfel, tamtej zaś torebkę, zanim jednak zjawi się konduktor lub urzędnik ruchu, złodziej już daleko, a z nim i zdobycz. On sobie zawsze potrafi poradzić w krytycznem położeniu i znajdzie wyjście, choćby nawet w czasie jazdy przez okno, a potem kryjówkę na dachu wagonu.

Na każdej stacyi nowe falowanie. Im ona większa, tem i ruch w wagonie większy. Każde wejście lub wyjście nowego pasażera połączone jest z ogólnem deptaniem sobie odcisków i objianiem boków i szczęśliwym może się nazwać ten, u kogo tylko na tem się kończy.

Nareszcie, po długich a dolegliwych cierpieniach dobija się do brzegu, to jest dojeżdża się do miejsca przeznaczenia, gdzie miały czekać konie, mające zawieźć dalej. Ponieważ jednak pociąg przybył z trzygodzinnem opóźnieniem, woźnica, nie mogąc się gości doczekać, wrócił do domu i o tem przekonują się przybyli, wyplnci poprostu z wnętrza wagonu przez pozostałych. Jeśli gdzie, to tutaj można mówić o działaniu siły, zwanej *vis a tergo*.

Na stacyi brak więc furmanki, ale to można jakoś przeboleć i złemu zaradzić, gdyż w miejscu jest jeszcze jeden przedwojenny koń o trzech nogach, choć właściciel żąda dwustu koron za odwiezienie i nie ręczy, czy jego rumak sprosta zadaniu. Zastrzega się przytem, że na wypadek, gdyby padł w drodze, poprosi o wypłacenie pełnej jego wartości.

— A ileż pan sobie za niego liczy? — pyta ktoś ciekawie.

— Ośm tysięcy koron!... Ani halerza mniej, ni więcej — odpowiada. — Na samo mięso tyle wart, nie licząc skóry i sierści...

Co jednak gorsze, pakunki, nadane jako tak zwany *Milgut*, pojechał dalej, trzeba więc telegrafować, by je zatrzymano po drodze i czekać. a może w międzyczasie znajdzie się jaka „okazya", choć i o takową trudno, gdyż w tych okolicach. jak na złość, ludzie chodzą przeważnie piechotą.

Dajmy na to, że przybyła cała rodzina, nie przykrzy się jej więc, gdyż może się zabawiać rozmową i przeżuwaniem wrażeń, odniesionych w czasie podróży, co też skraca czas czekania. Pociąg z przeciwnej strony ma nadejść za pięć godzin, nie licząc spodziewanego spóźnienia.

Godzą się więc podróżni z losem, skoro inaczej być nie może i czekają, a cierpliwość ich zostaje prędzej czy później nagrodzoną, w dziewięć bowiem godzin są już w posiadaniu swych bagaży.

Lecz teraz znów pokazuje się, że w drodze rewidował je ktoś niepowołany i skonfiskował właśnie to, co dziś każdemu najpotrzebniejsze, to jest żywność, bieliznę i ubrania, by się zaś waga zgadzała i zarząd kolejowy nie miał z tego powodu kłopotów niepotrzebnych, włożył do wnętrza trzy nowiuteńkie cegły, tak, że nawet jest pewna nadwyżka.

Nowy więc powód do lamentów, spisywania protokołu i otrzymania obietnicy, że kolej prawdopodobnie reklamacyę uwzględni i odszkodowanie wypłaci.

— A kiedy to może nastąpić? — pytają ciekawie poszkodowani.

— Za rok lub dwa najwyżej — brzmi odpowiedź kolejarza. — Teraz sprawy tego rodzaju są na porządku dziennym, a biuro reklamacyjne jest niemi poprostu zasypane.

Rada w radę, nie mając co jeść, ani w co się ubrać, postanawiają „podróżujący dla przyjemności" zmienić zamiar i wrócić do Krakowa, rezygnując z pobytu na świeżem powietrzu.

Z tygodnia.

Socyaliści austryaccy o sprawie polskiej.

„Arbeiter Zeitung“ zamieszcza następujący zna mienny artykuł o sprawie polskiej:

„W pokoju bazeskim zgodziła się Rosya na wydzielenie Polski z państwa rosyjskiego. Mimo to jednak państwo polskie dotąd nie istnieje. Ogłoszono wprawdzie niezawisłość Polski, nikt jednak nie wie jakie są granice tego państwa na północy i na wschodzie. Ustanowiono wprawdzie władzę suwerenną w postaci Rady Regencyjnej, która ma nawet prawo mianowania kilku ministrów i prezydenta ministrów. Rada ta jednak w rzeczywistości nie ma żadnych praw, ministrowie zaś mają tylko tytuły, ale egzekutywy nie mają żadnej. Zarząd kraju spoczywa dalej w rękach austro węgierskich i niemieckich władz okupacyjnych. Sejmu polskiego dotąd nie zwołano. Naród polski jest rozczarowany, a przytem żyje ciągle w obawie aneksyi. W tych stosunkach traktują Austro Węgry i Niemcy o sprawie polskiej. Rokowania te będą jednak trudne, tem bardziej, że hr. Burian popiera plan austro-polski, niemieckie sfery miarodajne planowi temu jednak nie sprzyjają.

Mówiąc o przyszłym losie Polski, nie wspomina się wcale o narodzie polskim. Wszak to, co się z Polską stanie, obchodzi nie tylko Austo-Węgry i Niemcy, lecz przedewszystkiem naród polski. Pierwszym warunkiem pomyślnego rozwiązania sprawy polskiej jest zasięgnięcie opinii narodu polskiego. Należy zgodzić się na to, by naród polski wybrał Sejm na podstawie powszechnego i równego prawa wyborczego. Tylko takie rozwiązanie sprawy polskiej, w którem zabierze głos naród polski, zapewnić może rychły i trwały pokój w Europie“.

Wywiezienie administratora dyecezyi wileńskiej.

Głucha wiadomość o wywiezieniu przez niemieckie władze okupacyjne administratora wileńskiego, ks. Michalkiewicza, znalazła dopiero oświecenie na posiedzeniu parlamentu niemieckiego. Poseł Korfanty wyjaśnił tę sprawę w obszernej mowie, w której między innemi powiedział:

„Przed dwoma tygodniami najwyższy dostojnik kościoła katolickiego, administrator dyecezyi wileńskiej, ks. prałat Michalkiewicz, przez żołnierzy niemieckich został pojmany i zawleczony w niewolę do Maribach w Niemczech, gdzie go internowano na cały czas wojny.

Powodem wywiezienia ks. Michalkiewicza, jak wyjaśnił poseł Korfanty, był fakt, że administrator dyecezyi wileńskiej „ukarał dyscyplinarnie czterech księży Litwinów, którzy wobec władz niemieckich oskarżali swego najwyższego przełożoyego kościelnego o sfałszowanie statystyki narodowościowej, chociaż statystyka ta jest dziełem niemieckich władz okupacyjnyco, a powstałem bez najmniejszego udziału władz kościelnych. Czterej ci księża odwieczne tradycye kościoła katolickiego w Polsce zohydzili i najwyższego swego przełożonego kościelnego zelżyli, przyrównując go do czynownika carskiego.“

Znamiennym dla rządów na Litwie — mówił dalej poseł Korfanty — jest między innymi ten fakt, że niemieccy żandarmi polowi jednego z tych ukaranych księży litewskich, ks. Bakszysza, obdarzają opieką bagnetów podczas jego wędrówek od wsi do wsi, gdy pod grozą bagnetów żandarmskich wymusza od duchowieństwa podpisy pod petycye oskarżające wileńską władzę kościelną u rządu i papieża o zdradę stanu i nadużywanie swego urzędu.

Mimowoli nasuwa mi się porównanie, że postępowanie niemieckich władz wojskowych z tym wysokim dostojnikiem kościelnym, z księdzem administratorem dyecezyi wileńskiej, niestety zbyt żywo przypomina postępowanie siepaczy carskich z poprzednikami ks. Michalkiewicza na tronie biskupim wileńskim“.

Dymisya Kühlmanna i oświadczenie kanclerza.

Wielkie wrażenie w świecie politycznym wywołała nagła dymisya niemieckiego sekretarza stanu Kühlmanna. Ściągnął on na swą głowę gromy aneksyonistów za swą ostatnią mowę, w której przyznał, że wojnę musi zakończyć nie miecz, lecz dyplomacya. Ustąpienie jego uznano też powszechnie za tryumf partyi wojennej w Niemczech. Po tej niespodziance jednak nastąpiła inna — mowa kanclerza Hertlinga, który również uderzył w nutę pokojową.

„Zmiana w sekretaryacie państwa — oświadczył kanclerz niemiecki — nie oznacza wcale zmiany kursu politycznego. Polityka państwa niemieckiego prowadzoną jest wyłącznie pod odpowiedzialnością kanclerza państwa. Na stanowisku, jakie przedstawiłem w mowie w dniu 29. listopada w sejmie Rzeszy trwam i dziś, zarówno o ile chodzi o politykę wewnętrzną, jak i o politykę zagraniczną. — Przyrzeczenia, dane wówczas w sprawie polityki wewnętrznej, spełniłem całkowicie.

Co do polityki zagranicznej, to również stoję na stanowisku, przedstawionem w mowie w dniu 29. listopada ubiegłego roku. Powiedziałem wówczas, że stoję na stanowisku odpowiedzi cesarskiej na notę papieża z 1. sierpnia u. r. Pokojowy nastrój, który ożywia tę notę, ożywia także i mnie. Dodałem jednak wówczas, że nastrój pokojowy nie śmie dawać naszym nieprzyjaciołom swobody do przeciągania wojny w nieskończoność.

Tak więc w kierunku polityki zagranicznej nie zajdzie żadna zmiana, gdyż — jeżeliby mimo tych oświadczeń nieprzyjacielskich mężów stanu, okazał się gdziekolwiek ruch za zbliżeniem, ruch pokojowy, albo też pierwszy krok ku takiemu zbliżeniu, to z pewnością z góry nie zajęlibyśmy odmownego stanowiska, lecz poszlibyśmy za inicyatywą, o ile byłaby poważnie pomyślaną. Idzie o to, aby powołani przedstawiciele mocarstw nieprzyjacielskich wyraźnie i w sposób autoratywny dali nam imieniem swoich rządów do zrozumienia, że rokowania są możliwe, rokowania naturalnie przedewszystkiem w małem kole. Jeżeli po tamtej stronie objawi się skłonność do pokoju, wtedy natychmiast skorzystamy z tego, to znaczy nie odrzucimy tej gotowości.

Mogę zapewnić, że to stanowisko nie jest tylko mojem, lecz także stanowiskiem naczelnej komendy armii. Powiedziała mi ona, że skoro tylko po tamtej stronie da się zauważyć wola do pokoju, to musimy się zająć tą sprawą. Co do Wschodu, stoimy na stanowisku pokoju brzeskiego i pragniemy ten pokój wykonać w lojalny sposób. Oto wola kierownictwa państwa niemieckiego, popartego pod tym względem przez naczelną komendę armii. Lecz trudność wykonania pokoju brzeskiego nie leży po naszej stronie, tylko w nader niepewnych stosunkach w Rosyi, gdzie bez przerwy istnieją zawikłania, ciągle starcia w obszarze granicznym i ciągłe nadużycia mniejszych grup wojsk.

Pragniemy lojalnie rokowań z obecnym rządem rosyjskim. Jednakże mamy uszy i oczy otwarte, abyśmy nie dali się przez nagłą zmianę stosunków w Rosyi zaskoczyć“.

Jedyny w Krakowie, który posiada własny wyrób trumien

Zakład pogrzebowy „Concordia" Jana Wolnego

Kraków, Plac Szczepański L. 8 (dom własny) — Telefon Nr. 331.

Instrumenta muzyczne

dobre i tanie poleca

IGNACY CYPRES

KRAKÓW, ulica Szewska 13/51

Skrzypce ze smyczkiem K 50·—, 60·—, 80·—, do 160·— Futerały K 25—35. Harmonie w różnych gatun. K 50·—, 60·— 80·— do 160·—. Klarnety 5 klap. K 30·— 8 klap. K 35·—, 10 klap. K 40·—. Trąby akordeonowe po K 14. 16·—, 18·—. Harmonijki ustne K 3·50 6·—, 7·—, do 12. Mandoliny K 60·—, 70·—, 80·—, do 90·—.

Wysyłka za pobraniem pocztowem. Za nieodpowiednie zwracam pieniądze.

Buciki letnie (sandały)

z nieruchomemi podeszwami drewnianemi z żółtej skóry wołowej, bez zarzutu wykonane, bardzo ładne, praktyczne w noszeniu oferujemy



nr. 25—27	K	8·45
„ 28—30	„	9·30
„ 31—33	„	10·60
„ 34—36	„	12·25
„ 37—39	„	13·55
„ 40—42	„	14·30
„ 43—45	„	15·—

Wysyłka za pobraniem. Mniej jak trzy pary nie wysyła się. Za nienadające się zwrot pieniędzy.

Dom eksportowy sandałów

S. Hayek, Wiedeń, 14 Bezirk, Sechshauserstrasse 11.

Jedyną rozrywką dla starszych i młodszych jest ogólnie znano

Kino kieszonkowe

„Triumph" (marka prawnie ochroniona), z prawdziwemi soczewkami „Jenna". Aparat z 50 filmami w ozdobnej kasetce **tylko kor. 4·—.**

Specyalne serye filmów zwyczajnych K 1.20; Wojennych K 1·30; Aktów artystycznych K 3·50 (tylko dla dorosłych). Co tydzień nowe serye! Za nadesłaniem należytości oraz 60 hal. na porto i opakowanie. Za zaliczką się nie wysyła.

Fabryczne generalne zastępstwo. Dom handlowy

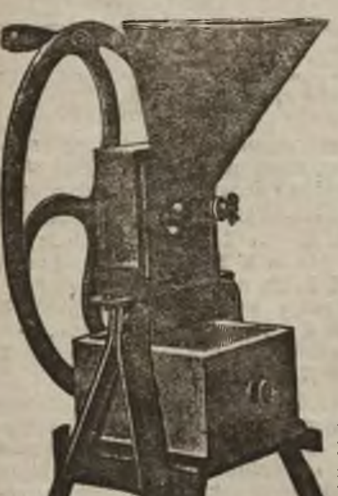
M. Pierożek i Ska, Kraków, Karmelicka 9/z.

Dla P. T. Kupców odpowiedni rabat.

Również do nabycia: M. Dobkowski, Chełm (Polska); Bołusz-Zonczyk, Zakopane; Józef Twaróg, Wolanka.

Ręczne młynki do żboża

(prawnie chronione).



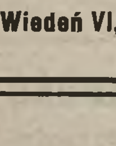
Mój oryginalny **młynek do zboża** z masywnem okrywaczem z drzewa dębowego lub żelaza, z przełamywaczem i ślimakiem, nadające się znakomicie do mielenia na razówkę i piękną mąkę każdego gatunku zboża o pojedynczym jednak trwałym wykonaniu z szeibami do mielenia na zmianę z hartowanego materyału, a które przy częstem używaniu są nie do zniszczenia. **Model 4** z ręczną korbą do małego gospodarstwa waga 7 kg. **K 100. Model 5** z ręcznym kołem rozpędowym do większego gospodarstwa około 12 kg. **K 120.** Rezerwowe szeiby do mielenia **K 14.** Za parę masywnych podstaw z drzewa lub żelaza razem ze skrzynią **K 80** więcej. Wysyłka z Wiednia za poprzedniem nadesłaniem K 20 zadatku reszta za pobraniem przez generalne zastępstwo:

Max Böhnel

Wiedeń VI, Margarethenstrasse 27. Oddz. 62.

Dla sprzedających cenniki darmo.

PIEGI



jak i czerwoność twarzy, nosa, zajady, wągry i zmarszczki, obwisła skóra, wszystkie nieczystości skóry znikają pod gwarancyą po dawno znanej **dr. A. Rixa** maści **Pompadour,** zupełnie nieszkodliwej. Próbna doza K 1·50, większa doza K 4·—. **Dr. A. Rixa mleko perłowe,** płynny puder różowy, biały i naturalnie żółty. 1 flakon K 5·—. Dyskretna wysyłka za pobraniem lub nadesłaniem należytości.

Kosmetyczne preparaty dra A. Rixa

Wiedeń IX. Lakierergasse 6/F.

Do nabycia w Krakowie: Apteka Wiszniewskiego, ul. Floryańska 15. Perfumerya Reim i Ska, Rynek 35. K. Miklaszewski, plac Dominikański. Komorowskiego, Floryańska 33. Beckner, Długa 4, Uniwersalny magazyn M. Drobner. We Lwowie: Apteka Rucker, ul. Krakowska, apteka M. Ettingera pl. Gołuchowskiego. Perfumerya Sladowskiego. Tarnów: Droguerya Bracha. W Bielsku: Drog. Polaczka, ul. Kolejowa. Lublin: Perfumerya Stankiewicza. W Białej: Drog. Tanewski. W Rzeszowie: Droguerya Lindego.

Każda kobieta



czyta moje bardzo interesujące pouczenia nowoczesnego

pielęgnowania biustu.

Nieocenione rady przy zanikaniu i braku pełnych kształtów! Proszę pisać z zaufaniem

IDA KRAUSE, Pressburg (Węgry), Schanzstrasse 2.

Oddział Nr. 124.

Nic nie kosztuje.

PIEGI.

Do usunięcia piegów używa się rozmaitych środków. Wszystkie środki polegają na tej zasadzie, że piegi po użyciu odnośnego środka bledną. Ten sposób działania jest niewłaściwy. Jeżeli chce się piegi usunąć — to zblednięcie ich nie wystarcza, ponieważ z chwilą zaprzestania używania odnośnego środka pojawiają się znowu.

Zupełne usunięcie piegów, plam, zajadów jest możliwe tylko tak zwanym **„kremem Santo"**. Codziennie twarz smaruje się tym kremem i zmywa proszkiem Santo.

Tym senzacyjnym kremem piegi w krótkim czasie usuwa się zupełnie i otrzymuje się piękną różową, białą cerę. Krem ten sporządzony jest według wskazówek prof. uniw. dr. Hager, prawnie chroniony i dzisiaj jest jedynym gwarantowanym skutecznym środkiem i zupełnie nieszkodliwym. Jedna doza wystarcza zupełnie. Cena K 5·—, pocztą o 96 hal. więcej. Do kremu załączamy sposób użycia i 1 pakiecik pudru darmo. Dyskretna wysyłka. Do nabycia po nadesłaniu należytości w markach poczt. przekazem lub za pobraniem

J. Kukla, Praga, ul. Perłowa 23.

Przybory do golenia

dobre i tanie poleca

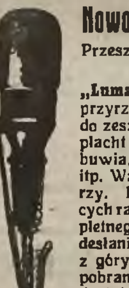
IGNACY CYPRES

KRAKOW, ulica Szewska 13/51

Brzytwy po K 4·—, 6·—, 8 do 12. Aparaty do samogolenia 12 do 16 K. Pas do obciągania brzytwy K 4·50 do 5·50. Kamienie do brzytew K 4·50 do 5·50. Maszynki do włosów K 25·—. Dyamenty do szkła K 25·— do 30·—. Zapalniczki K 5·—, do 12·—. Aparata fotograficzne K 5·50, 9·—, 25·—.

Wysyłka za pobraniem pocztowem. Za nieodpowiednie zwracam pieniądze.

Taniej niż wszędzie!



Nowość! Patent A. R. O. M.

Przeszło milion w użyciu!

„Lumax" praktyczny przyrząd dla każdego do zeszywania pasów płacht do wozów, obuwia, żagli, worków itp. Ważne dla żołnierzy. Dla sprzedających rabat. Cena kompletnego szydła po nadesłaniu należytości z góry kor. 4·70, a za pobraniem 50 halerzy drożej. 5 sztuk kor. 21·—. **Polski sposób użycia.** Pełna gwarancya! Wysyła fabr.

Dom handlowy

M. PIEROŻEK, Kraków,

Karmelicka 9/z.

Prawdziwe tylko z wybitą naszą firmą na rączce!

Administracya Nowości Illustrowanych

wysyła za poprzedniem nadesłaniem gotówki następujące książki:

a) **„Wojenny Balonik"**
Wacława Grabiańskiego
cena 1 kor.

b) **„Rękopis z przyszłego wieku"**
Stefana Buszczyńskiego
cena 3 kor.

c) **„Piekło"**
Wacława Grabiańskiego
cena 3·50 kor.

d) **„Duch dziejów Polski"**
Antoniego Chołoniewskiego
cena kor. 2·50.

Na porto polecone nadsyłać należy po 50 hal. na każdą książkę.

Za wysyłki niepolecone Administracya nie odpowiada. — Za zaliczką nie wysyła się.

Losy na raty!

Jako **generalny zastępca Banku Allg. Verkehrsbank, kapitał akcyjny 78,000 000 koron,** polecam **losy na raty** po jak najprzystępniejszych warunkach, n. p. **5 losów Czerwonego Krzyża 34 rat po 8 kor.** Rzutkich zastępców poszukuje

N. BERNFELD

Kantor wymiany

Lwów, Sykstuska 1.

KINO-WANDA

przy ulicy św. Gertrudy L. 5.

Co trzeci dzień nowy program.

Przedstawienia trwają w dnie powszednie od godziny 4-tej po południu, w niedziele i święta od godziny 3-ciej po południu.

Kształtny, piękny biust

osiągnąć można pożądany skutek przez użycie wielokrotnie wypróbowanego aparatu **Hyperin,** z patentowanym masażem.



Najnowszy, przez lekarzy polecany wynalazek zmodernizowanej wiedzy. **Widoczny skutek już po 14 dniach, dalsze używanie zbędne.** Ten do zewnętrznego użytku aparat poleca się gorąco paniom każdego wieku. O nieszkodliwości i skuteczności pisały wiele doświadczone pisarki. Skutek nadzwyczajny. Używać może dwie osoby. Za nieodpowiednie zwrot pieniędzy. Cena z dodatkami i podaniem sposobu użycia **kor. 8·50,** z przesyłką pocztową 50 hal. drożej. Dyskretna wysyłka bez podania zawartości za zaliczką przez

Hygieniczny dom wysyłkowy

J. KUKLA, Praga

Perlgasse 21

Ręczne młynki do zboża

mielą na mąkę,



na razówkę i piękną mąkę wszystkich rodzai zboża. Pojedyncze a bardzo trwałe wykonanie, prawie nie dozużycia, z hartowanymi szeibami do mełcia do zmiany. Cena bez podstawy z kołem rozpędowym ciężar ca 12 kg. K 120, z korbą waga ca 7 kg K 100. Wysyłka loco Wiedeń za poprzedniem nadesłaniem 20 K.

Reszta należytości za pobraniem dostarcza

E. Wolfsohn, Wiedeń II, Obermüllnerstrasse 17.

Zastępcy poszukiwani.

Różowe policzki



i usta naturalnej piękności po użyciu jedynie dobrej i zupełnie nieszkodliwej dr. A. Rixa **wody różanej** (do mycia). Nikt nie pozna, pomimo wspaniałego działania. 1 flakon K 3·50. Dyskretna wysyłka za pobraniem lub nadesłaniem należytości.

Kosmetyczne preparaty dra A. Rixa

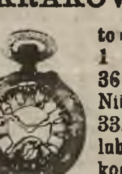
Wiedeń IX., Lakierergasse 6/F.

Do nabycia w Krakowie: Apteka Wiszniewskiego, ul. Floryańska 15. Perfumerya Reim i Ska, Rynek 35. K. Miklaszewski, plac Dominikański. Komorowskiego, Floryańska 33. Beckner, Długa 4, Uniwersalny magazyn M. Drobner. We Lwowie: Apteka Rucker, ul. Krakowska, apteka M. Ettingera pl. Gołuchowskiego. Perfumerya Sladowskiego. Tarnów: Droguerya Bracha. W Bielsku: Drog. Polaczka, ul. Kolejowa. Lublin: Perfumerya Stankiewicza. W Białej: Droguerya Tanewski. W Rzeszowie: Droguerya Lindego.

Mimo wojny i kolosalnej drożyzny sprzedaje firma

IGNACY CYPRES,

KRAKÓW, ulica Szewska 13/51



towary po nadzwyczajnie tanich cenach 1 Brytania Anker-Remont, system Roskopf 36 godz. idący, z łańcuszkiem kor. 26 Niklowy Gre Roskopf na kamieniu koron 33. Stalowy płaski zegarek marki „Enigma" lub „Volo" K 70 Stalowy damski Remont kor. 60·—. Budzik najlepszy kor. 30·— Łańcuszki srebrne od kor. 12·—. Zegary ścienne z najrozmaitszemi cudnie rzeźbionemi cyferblatami na wagi z łańcuszkami z biciem 1/2 g dz K 90·—

Za nieodpowiednie zwracam pieniądze.

Cenniki darmo i opłatnie.

W Administracyi Nowości Illustrowanych

jest do nabycia

Księga pamiątkowa wielkiej wojny.

(Kalendarz z 1916 roku).

Cena: oprawne w płótno 3 kor., broszurowane 2 kor.

W jaki sposób wypiękniałam!



„Jakże byłam szkaradna!" — tak opowiada pewna młoda kobieta, której portret w środku się znajduje. — Zresztą nie byłam niemiłej postaci, ale przez kilka lat była cera mojej twarzy tak zeszpecona, że była prawie odrażającą. — Używałam najrozmaitszych środków, ale zawsze nadaremnie. Byłam już prawie zrozpaczona! Za poradą mojej przyjaciółki jednak sprowadziłam cztery słoiki „HELINU" i używałam według przepisu. — Już po kilku dniach zauważyłam, że szpecąca moją twarz nieczystość ustępowała w sposób w oczy wpadający, a po kilku tygodniach zupełnie znikła. — Twarz moja stała się miła, czysta i gładka, cera przyjemna, delikatna i różowa, moje białe ręce zyskały na dystyngowanej piękności i delikatności. Znajomi, którzy mnie przez dłuższy czas nie widzieli, ledwie mnie poznać mogli. — Jak przedtem byłam lekceważona, tak obecnie stałam się ulubienicą wszystkich. Wnet uchodziłam powszechnie za piękność i niebawem mogłam według własnego upodobania przystąpić z wybrańcem do ołtarza. Rówieśniczkom moim, które jeszcze nie próbowały tego cudownego środka, mogę jak najgoręcej polecić, aby sobie sprowadziły kilka słoików „Helinu" ze składu apteki pod „Białym Orłem", L. Vertesa. **Lugos Nr. 741,** jeżeli pragną pozbyć się jakichkolwiek wyrzutów skórnych i uzyskać trwałą piękną cerę. Wysyłka następuje najmniej w ilościach 3 słoików „Helinu" lub 2 słoików „specyalnie silnego „Helinu" odnoszącego zupełny skutek wraz z opisem sposobu używania, z opakowaniem i opłatą pocztową za K 24.50. Za taniej niż za K 24·50 nie wysyła się, ponieważ koszta opakowania i opłaty pocztowe są zbyt wygórowane.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: M. Lipińska. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madejskiego